

№ 8. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:	Adres Redakcyi i Administracyi:	PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie Kwartalnie. . . . . . . rs. 1. Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10. Na prowincyi Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.	Chmielna Nr 26. Warszawa, dnia 9 Lutego (21 Lutego) 1891 roku.	We Lwowie i Krakowie Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30. W Poznaniu Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

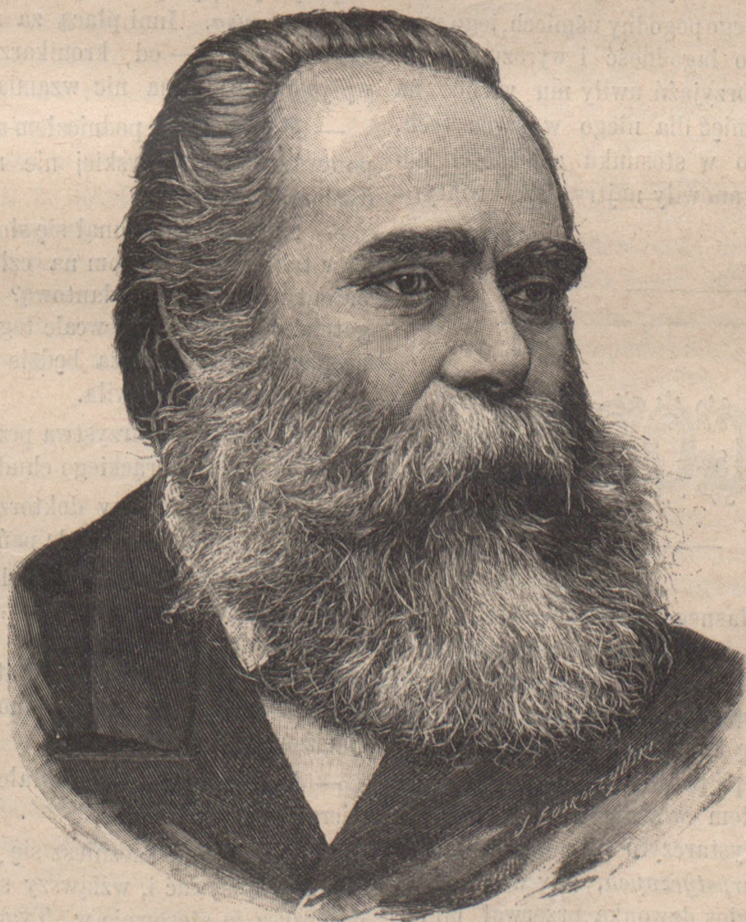
Treść: Wincenty Korotyński (z portretem). — Z Tygodnia. — Konwalia (wiersz). — Podwójne bogactwo, nowela przez Emjota (dokończenie). — Wychowanie. — Korespondencya z Paryża o literaturze i sztuce. — W złą godzinę, przez autorkę „Molly Bawn," przekład z angielskiego M. G. — Piśmiennictwo. — Z chwili bieżącej. — Ogłoszenia. **W dodatku:** Poświęceni, przekład z francuzkiego, część druga (arkusz 8).

WINCENTY KOROTYŃSKI.



Wspomnieliśmy już tydzień temu o śmierci Korotyńskiego, tak nagle prawie spadłej na serca jego przyjaciół, którzy przypuścić nie mogli, a potem i uwierzyć, aby ten osadzisty budrys, taki rumiany na twarzy, taki czerstwy na duchu, miał się tak rychło w grób położyć! Dziś wracamy znowu do tego przedmiotu, nie dlatego, abyśmy mieli czynić tu obrachunek literacki nad mogiłą odpoczywającego pracownika, lecz byśmy sercem przyjaciela pożegnali nieboszczyka, co tak cichutko, nieledwie ukradkiem z objęć się naszych wyrwał.

Korotyńskiego znaliśmy od ćwierćwiecza, więc od chwili, gdy, wypłoszony z ostępów nowogrodzkich, tutaj przyszedł, ze swym talentem, swą zacną pracą, swą niewyczerpaną a gołębią dobrocią serca. Przyszedł, aby się wprządz do taczki dziennikarskiej, która narzędziem jest syzyfowego trudu, co wciąż się wali na ramiona, a nigdy ostatecznie podźwignąć się i utrzymać nie daje. Poetą był, pieśniarzem, wyrosłym przy lirence Syrokomlowej, która mu rzuciła dźwięki swoje, jak ziarno, w duszę na życie całe. Poetą był i od lat dwudziestu pięciu śpiewać nie mógł, bo czasu potemu nie miał, zgarbiony nad mozołem syzyfowym, któremu nigdy końca niema. Cała jego ambicya literacka zześrodkowała się w miłości dla języka i... dla prawdy, co


WINCENTY KOROTYŃSKI.

na dzisiejsze czasy bywa umiłowaniem nieledwie dziwacznem. Pierwszy jego kierunek miał strawę codzienną, pole do pracy nigdy niewyczerpane — drugi gorszył nieraz tych, co sprawy i umysły ludzkie powierzchownie sądzą. Ten konserwatysta „zaśniedziały" nieraz przemawiał jak najprawdziwszy postępowiec, i, o dziwo niesłychane! czytywał wszystko i wszystkich, a nikomu takich lub owakich przekonań za złe nie miał, mawiał zaś zawsze, że we wszystkich kierunkach i obozach muszą być szczegóły dobre i prawdziwe, inaczej bowiem trzebaby przypuszczać w ludziach ślepotę absolutną, lub złą wolę. Złej woli zaś nieboszczyk nie przypisywał nikomu, bo jego natura optymistyczna nie była do tego skłonną. Sam prawy do szpiku kości, potrzebował też wiary w ludzi. Jeżeli kogo potępić był zmuszony, czynił to z zamiarem ratowania tego co ratunku potrzebowało i z gorącem pragnieniem przebaczenia za lada pretekstem.

Korotyński w młodości pisał przeważnie utwory poetyczne, potem ugrzązł w dziennikarstwie i pracował od rana do nocy nad tym materyałem gazeciarskim, który błyszczy dzisiaj, aby jutro zagasnąć, a pojutrze znaleźć się pod plackami lub na śmietniku. A jednak taki materyał efemeryczny wystarczyłby nieboszczykowi na kilka setek tomów! Nie macie pojęcia, jakim smokiem jest to dziennikarstwo, które chłonie i pożera najzdrowsze soki organizmu umysłowego, aby je przetrawiać na codzienny, jednodniowy posiłek. A przecież ile pięknych myśli, ile prawdziwych pereł języka i stylu, ile wiadomości i nauki wkładał w to nieboszczyk, który nie potrafił zbywać pracy byle czem i do każdego artykułu zasiadał z namaszczeniem, a wysokiem pojęciem zadania.

Cichy, skromny, usuwający się nawet przed tymi, dla których jego wyrozumiałość winna być zaszczytem—Korotyński fizyognomią duchową przypominał bardzo Moniuszkę, a z myśli i serca był najwdzięczniejszym wychowańcem Syrokomli. Kochał też tych, co, jako maluczcy, usuwani bywają od wszelakiej życia uczty, i chętnie garnął ich ku sobie. Znali oni dobrze jego pogodny uśmiech, jego prostotę i szczerość, jego łagodność i wyrozumiałość. Jeżeli koleżeństwo i przyjaźń uwiły mu wieńce na trumnę, uczucia i pamięć dla niego w sercu tych, co zostawali do niego w stosunku zależności lub podwładztwa, będą stanowiły najtrwalsze kwiaty.

Maryusz.

Z TYGODNIA

Jeżeli rachunek własnego sumienia jest rzeczą łatwą, nic dziwnego, iż obliczenie zysków i strat, wciągu dni ośmiu przez ogół poniesionych, tem większego wymaga zastanowienia. Podzieliwszy też dużą tablicę szyfrową kredą na dwie połowy i wypisawszy jako tytuł, po prawicy: *radości*, po lewicy zaś: *smutki*, zacząłem właśnie z zakłopotaniem gryźć wąsy, bo nie wystarczyło mi miejsca na rubrykę *kwestyj humorystycznych*, gdy wtem hałaśliwy i długotrwały głos dzwonka przerwał mi doniosłe rozmyślania.

Poruszyłem się z nieukrywaną niecierpliwością. To brutalne naciskanie sprężyny elektrycznej obu- rzyło mnie; nie lubię bowiem, gdy mi kto w poważnej przeszkadza pracy.

Na progu tymczasem stanął wykwintny jakiś dżentelman i... biorąc mnie za mego własnego lokaja, jak gdyby zbytek taki był możliwym na poddaszu literata, już wyciągał kartę ze złoconemi brzegami, gdy pióro dzierżone w mej dłoni objaśniło go, z kim ma do czynienia.

Zgiął się w pełnym szacunku ukłonie i wymienił dosyć brzmiące, lecz cudzoziemskie nazwisko, zapewniając z wyrazem szczerości, iż oddawna chciał poznać tak ważną osobistość, jak kronikarz „Tygodnika."

— Pan żartuje — przerwałem urażony.

— Ależ broń Boże! Wpływ na kobiety, to przecież potęga!

— Pragnąłbym go pozyskać — wyznałem skromnie. — Dotąd jednak...

— Jesteś pan na najlepszej drodze—zapewnił.— Gdybyś jeszcze mógł imponować czytelniczkom, gdyby jakiś brzmiący tytulik...

Patrzyłem zdumiony.

Gość mój tymczasem, przechylając się na krześle, mówił poufnie:

— Przyznaj pan, że tak, *tout court*, Anatol, to niezbyt brzmi poważnie. Marny jakiś naukowy stopień, na przykład doktor Anatol, odrazu dodałby nazwisku pańskiemu powagi. Kobiety lubią podobne wyróżnienia.

Trafiał w najsłabszą moję stronę.

— Rzeczywiście — wyznałem, — oddawna marzę o naukowych zaszczytach.

— Ależ poco marzyć — przerwał. — My to panu najchętniej ułatwimy.

— Panie!

— Och, proszę, proszę, bez obrazy! Chcemy pana tylko przekonać, że cudzoziemcy nie są tak niebezpieczni, jak to, doktorze szanowny, starasz się w felietonach swych przedstawić. Uprzedzasz niekorzystnie do działalności naszej kobiety, a więc pół kraju, my zaś, na dowód żeśmy nietacy dla was nieprzychylni, przynosimy panu dyplom doktorski *honoris causa*. Inni płacą za niego 300 rs.—dodał skromnie, — od kronikarza jednak równie wpływowego pisma nic wzamian nie żądamy.

— Mój panie — podniosłem się z oburzeniem, — po awanturze krakowskiej nie mnie dziś brać na dyplom doktorski!

— Nie? — uśmiechnął się słodziutko. — To może w takim razie dyplom na członka akademii, lub patent na gwiazdę brylantową? 500 franków, bagatela! Nie policzymy wcale tego, a taka gwiazda na piersiach kronikarza będzie nieskończenie wiele o zasługach jego mówiła.

— Gwiazda Towarzystwa przemysłowego w Brukselli, u mnie, literackiego chudopachołka?

— A któż, szanowny doktorze, sprawdza jaka? Gdy błyśnie na ciemnem tle pańskiego fraka, a ludzie przyzwyczają się do niej, pół świata uwierzy, że za zasługi pióra zdobyta. 1,000 franków, a dla doktora nawet bez pretensyi. Wahasz się pan, patrz—tu wyciągnął szybko notatnik—oto lista wpływowych osobistości, które jedno z tych trzech odznaczeń już nabyły.

— Tyle nazwisk! — zawołałem, własnym nie dowierzając oczom.

— O, gdy pan zaczniesz się już doktorem Anatolem podpisywać i, wziąwszy sprawę tę do serca, poruszysz ją stosownie w „Tygodniku," jestem pewny, iż klientela nasza znacznie wzrośnie. Niejedna bowiem z nadobnych twych czytelniczek zacznie tak suszyć głowę mężowi o tytuł doktora lub członka akademii, iż dlatego samego usługi nasze, równie zasłużonemu, jak szanowny doktor, pisarzowi, bez pretensyi oddajemy.

Krew nie woda, to też wytworny skarbnik honorów i zaszczytów zmierzył po chwili wysokość mych schodów, a jednak nie zraziło go to widocznie do pism skromnych, nic z szerszą działalnością niemających wspólnego, w kilka dni bowiem wyczytałem w „Gazecie świątecznej," iż ten sam zapewne, źle mówiący po polsku jegomość, ofiarowywał redaktorowi jej 15,000 rs. za popieranie emigracyi i przedstawianie ludowi Brazylii pod rajskiemi tylko barwami. Kobiety i lud, to takie dwie ciche, lecz potężne sprężyny, iż warto je sobie zjednywać. Wszak pan José de Santos, mając ofiarowane usługi cukrownika, odpowiedział, iż dla techników miejsca w Brazylii niema, gdyż potrzebuje ona tylko *Bauernfleisch*.

A że to nieszczęsne „mięso chłopskie" mrze tam z głodu, proponują więc wielką akcyą ratunkową, zbieranie składek na powrót dla tych, którym w Brazylii śmierć grozi. Może widok ich nędzy powstrzyma od wychodźctwa innych.

Ofiarność zresztą w ponętnych tylko szatach z kilku stron odwołuje się równocześnie do naszych uczuć szlachetnych. Osady rolne mają otworzyć przybytek poprawczy dla dziewcząt, nie polegając więc na dochodzie z odczytów, pomimo iż zarząd chce je uprzystępnić i wprowadza w tym roku tańsze bilety familijne, obiecują nam również wielki koncert z Modrzejewską.

Słynna artystka wystąpi jeszcze osobno na budowę pomników dla Żółkowskiego i Królikowskiego. Wobec istnej giełdy, jaką utworzyli przekupnie z biletami na występy jej teatralne, te dwa koncerty ściągną zapewne tych wszystkich, którzy jej na scenie zobaczyć nie są wstanie. Potężny więc talent naszej Maryi Stuart ufunduje nietylko przytułek dla wydziedziczonych, lecz i do *foyer* Wielkiego teatru przeznaczone pomniki dla obu mistrzów polskiej sceny.

Współudział genialnej artystki taką dziełu temu daje podstawę, iż komitet pomnikowy ogłosił równocześnie konkurs na projekt do wykucia słynnych artystów w marmurze.

Kwestya odczytów na Osady przypomina mi, że pisma zapowiadają równocześnie prelekcye p. Garlickiego o... Afryce! Doprawdy, ta Afryka, pomimo iż Sienkiewicz tak ślicznie pustynie jej w „Słowie" maluje, ta Afryka zaczyna nas prześladować trochę. Czyby więc kto z inteligencyi — przypuszczam że mogłaby to zrobić i kobieta—nie zechciał chociażby nie na podstawie osobistych obserwacyj wygłaszać popularnych odczytów dla ludu o Brazylii?

Sądzę, że kwestya to większej dziś dla nas doniosłości nad klimat i roślinność... w Kongo. Odczyty takie, urządzone w salach zabaw ludowych lub w szkołach rzemieślniczych, nieobliczone, jak sądzę, przyniosłyby korzyści, wywierając głębokie na prostych umysłach wrażenie. Że najlepiej mógłby się z zadania podobnego wywiązać Dygasiński, jako naoczny świadek stosunków brazylijskich i głęboki znawca ludu, to najmniejszej nie ulega wątpliwości.

Gdy jednak trudno, aby on jeden wszystkiemu podołał, przypuszczam że odczyty, nawet na pracy kompilacyjnej oparte, jeszcze wielkie miałyby znaczenie.

W tym samym duchu należałoby zapewne przedstawiać sztuki ludowe w mającym się otworzyć teatrzyku na Saskiej Kępie. Nie zdaje mi się, aby

inteligencya szła tam szukać rozrywki, świat zaś ubożuchny niechby stosowną znalazł strawę.

Znów dzwonek, lecz tym razem dyskretny, przerwał mi pisanie. Przywołany do rzeczywistości, spojrzałem z przerażeniem na tablicę szyfrową, pustą dotąd zupełnie.

Do izdebki mej tymczasem wsunęła się jedna ze ślicznych przedstawicielek tutejszej kolonii artystycznej.

— Mój panie — zawołała z wymówką,— dlaczego nie wpłyniecie na Towarzystwo sztuk pięknych, aby ogłosiło, jak zwykle, wystawę prac naszych?

— Dobrodziejko! — wołam, a ostrzeżony jej uśmieszkiem, poprawiam się: — śliczna pani, ja o tem nic nie wiedziałem.

Wzruszyła pogardliwie ramionami.

— Słusznie, bo cóż to panów obchodzi, że Zachęta nas prześladuje!

— Jakto prześladuje?

— Notuj pan, proszę.

Chwytam za tablicę i pod rubryką *strat* piszę słowa, przez gościa mego dyktowane:

— *Primo*: — mówi,—Zachęta nas demoralizuje, nie każe bowiem wpuszczać dwóch kobiet za pięciorublowym biletem, lecz pozwala wejść kobiecie z mężczyzną.

— Już o tem mówiłem.

— To nic, powtórz pan jeszcze. *Secundo*: zniosła wystawę prac naszych, wskutek czego urządzamy ją na własną rękę.

— Daruje pani, lecz tu już po stronie zysków kreskę postawię.

— Stawiaj ją sobie pan, gdzie ci się podoba. Pozwól sobie jednak powiedzieć, że nie ja o rzeczach tych powinnam cię zawiadamiać. Jako karę też za lekceważenie pracy niewieściej coraz częściej miejsca wasze zajmować będziemy. Objęłyśmy właśnie kolporterą księgarską i staramy się, na wzór kobiet londyńskich, o nadzór nad plantacyami.

Chwyciłem za kredę, lecz zanim zdążyłem do *zysków* dwa nowe dodać znaki, już gościa w pokoju nie było.

Anatol.

KONWALIA.

(Z motywów ludowych).



W lesie rosła konwalia biała,
Hoża dziewa w chacie się chowała,

Kwiatek słonko pieści, myją rosy,
Dziewie rosną czarne, bujne kosy.

Kwiatek nęci białością i wonią,
Dziewa krasna, chłopcy za nią gonią.

W cieniu kryje wdzięki konwalia,
Dziewa płonie, lecz dotąd niczyja.

Przyszedł wicher, złamał konwalią,
Chłopiec swoją uczynił niczyją.

Kwiatek wszystką woń wytchnął i kona,
Więdnie dziewa przez chłopca zdradzona.

Wątek szczęścia, mój Boże, jak kruchy!
Jedne losy kwiatka i dziewuchy...

E. J.

PODWÓJNE BOGACTWO.

NOWELA

PRZEZ

EMJOTA.

(Dokończenie.)



Czwartego dnia obiad przyprawiała już kucharka. Dziwnie nie artystycznie przyrządzonemi zdały się pseudo-bankrutowi cztery składające go potrawy. Na dobitkę nie podano po nim likierów. Z wielkim niesmakiem i niezadowoleniem wstał od stołu pan Ignacy.

Pani Zofia zaś, chociaż obiad niemniej kłół i jej podniebienie, udawała, że wszystko jej bardzo smakuje. Dzieci wymustrowane przez matkę grymasów nie zrobiły, a panna Auban, zapewne przez delikatność, żadnego też dania nie opuściła. Nie usposabiało to wszystko lepiej dla obiadu p. Ignacego. Wprost od stołu wyruszył do cukierni na ciastka i likier, uczuł jednak w chwili stanowczej takie wyrzuty sumienia, że zapłacił i wyszedł, nie tknąwszy nawet nic z podanych specyałów.

Nazajutrz po obiedzie odezwała się pani Zofia do męża:

— Chodźmy dziś do teatru, Żółkowski występuje.

— A oszczędności? Loża...

— Któż nam każe brać lożę? Dwa krzesła w szóstym lub siódmym rzędzie...

— Tybyś siedziała w siódmym rzędzie?!—przerwał naprzemian z niedowierzaniem pan Ignacy.

— Dlaczegóżby nie?

— Obaczymy co z tego będzie! — pomyślał, biorąc kapelusz.

W teatrze nasza para spotkała masę znajomych, których niezmiernie zdziwiło, że taki bogaty człowiek jak Worski i taka elegancka dama jak jego żona tak daleko od sceny na parterze usiedli. Biedna pani Zofia czuła, że ze wszech stron skierowują się na nią lornetki, że dokoła o niej mówią, dodawała jednak sobie animuszu pamięcią na to, że dając poznać po sobie przykrość, dotknęłaby boleśnie swego bankruta. Spokojnie i z zupełną swobodą odpowiadała na ukłony znajomym damom i rozmawiała z licznymi panami, co ją i w siódmym rzędzie odszukali.

Ktoś z poufalszych nagle zapytał:

— Co też to państwu przyszła za chętka tak daleko się schować?

Pan Ignacy spłonął ze wstydu, szczególnie dlatego, że zdawała mu się tak fałszywą sytuacya żony.

— Cóż robić? — odparła ona spokojnie i poważnie bez cienia zakłopotania,—teraz nas nie stać na droższe miejsca, a i ztąd widzimy doskonale scenę; prócz tego uzbrojeni jesteśmy w lornetki. Przed chwilą o kilka jeszcze rzędów za nami słyszałam najserdeczniejszy śmiech; nietylko w pierwszym rzędzie można odczuwać przyjemność.

Śmiała się pani Zofia i sama, z początku z przymusem, żeby męża rozruszać, później nawet i szczerze, a w chwili powrotu do domu nie pamiętała już nawet o bankructwie.

Pan Ignacy, patrząc teraz na swoję żonę, rósł jak na drożdżach. Bolała ona bardzo nad stratą majątku i to nietylko ze względu na rodzinę, lecz i na samę siebie, wiedziała jednak, że się ludzie do tysiąc razy gorszych zmian przyzwyczajają.

Nie opuszczając rąk, usiłowała stać się praktyczną gospodynią i pocieszyć choć troszkę męża, któremu już oddawna, mówiąc nawiasem, kuzynek Alfred z głowy wyleciał, i dzieci, co osiągała z jednej strony zawsze dobrym, a jak dotąd najczęściej udanym humorem i większą ilością pieszczot.

Teraz jeszcze wszystkie te wyprzedaże i targi raniły ją wciąż, myślała jednak, że gdy życie popłynie już regularnie nowem korytem, ostatnia rana się zagoi.

Tak minął tydzień. Gdy nadszedł dzień balu u hrabiostwa Z.—najpiękniejszego balu w sezonie—bardzo markotno zrobiło się p. Zofii, jako wielkiej amatorce tańca i zabawy; popłakała nawet trochę gdzieś w kąciku, lecz męża spotkała z najweselszą możebnie miną i, pośpiewując wesoło, zaczęła z nim gawędę.

— To dziś zdaje się bal u Z.?—zapytał nagle.

— Dziś? Być może! A tak, tak, dziś, masz racyą—odrzekła obojętnie

— A bardzo ci przykro, że na nim nie będziesz?

— Ani trochę—skłamała p. Zofia;—gdybym mogła być, bawiłabym się wyśmienicie, a że nie mogę, to obejdę się z łatwością. Zagram ci wieczorem na fortepianie i będzie cały bal. A tymczasem zagrajmy sobie w szachy; do śniadania jeszcze mamy z półgodziny.

Przy partyi oboje byli bardzo roztargnieni, szczęście jednak sprzyjało jej. Mat był już blizki, gdy do saloniku weszła służąca.

— Przyszła panna od Hersego z suknią do miary.

— Co takiego?—zapytała z przerażeniem p. Zofia. Służąca powtórzyła.

— Ignasiu!—zawołała p. Zofia, błagalnie składając ręce,—to nie moja wina! Wierz mi, dałam znać że nie chcę tej sukni!

I oparłszy głowę o stolik, nagle rozpłakała się spazmatycznie. Szachy od wstrząśnienia poprzewracały się i posypały na posadzkę.

— Zosiu, Zosieczko!—uspokajał ją mąż, mimowolnie schylając się po rozbitego króla,—to ja sam odwołałem twoje rozporządzenie.

— Pocóżeś to uczynił?—zapytała z wyrzutem,—wszak niestać nas na takie zbytki; dzieci ucierpią. Zresztą wszystko jedno, nie pojadę na ten bal! Wstydby mi było w takiej drogiej sukni pokazać się przy takim stanie twoich interesów.

— Dlaczego nie miałabyś pojechać? Zresztą widzisz.... jakby to powiedzieć.... okazało się, żem się w znacznym stopniu mylił. Źle zrozumiałem wówczas tego Bamberga: owe sto dwadzieścia tysięcy rubli dopiero miały być wypłacone, przez jakieś jednak opóźnienie nie otrzymał ich Godębski.

P. Zofia, która słuchała z wpół otwartemi ustami, klasnęła w dłonie i zerwała się z miejsca.

— A więc nasze dochody zwiększyły się we dwójnasób prawie?

— Zapewne.

— Skończą się zatem dla ciebie obiadki gospodarskie, na które tak nosem kręcisz. Przyjmujemy znowu kucharza, i lokaja też, i jednę jeszcze służącą także, i mieszkanie całe zostawimy sobie i mebli nie sprzedamy, tylko koni nie będziemy trzymali. Jeśli tak rzeczy stoją, jedziemy na bal. Idę mierzyć suknię. Trzeba zamówić karetę.

— Zamówiona.

— I fryzyera.

— Będzie tu o 9-ej.

— Drogi, kochany mężusiu, niechże cię uściskam!

I uścisnęli się serdecznie, poczem pani Zofia wybiegła podskakując.

Śniadanie było niezmiernie ożywione, wszyscy wiedzieli o radosnej nowinie, a pani Zofii dodawało humoru i to, że suknia leżała i wyglądała cudownie.

Po śniadaniu, całując żonę w rękę, powiedział p. Ignacy:

— Ale zdaje mi się, żem ci zapomniał powiedzieć, kochanie, że poczciwy Bamberg, dowiedziawszy się o całej sprawie, zrzekł się należnej mu z prawa kary trzydziestotysięcznej.

— Czy być może? Co za szczęście! Więc znowu jesteśmy bogaci! Zdaje mi się nawet, żeśmy dwa razy bogatsi, niż byliśmy dawniej! Poczciwy, sumienny Niemiec!

Niewypowiedziana radość zapanowała w rodzinie Worskich; nawet pan Ignacy cieszył się, jak gdyby i jego jakaś niespodzianka spotkała.

W godzinę po śniadaniu uprzedzony przez pana Ignacego kucharz zajmował się obiadem, przy którym nic już nie brakło.

Po kawie poobiedniej, zgodnie z pańskim rozkazem, wszedł lokaj i powiedział, że przyniesiono telegram.

Pani Zofia zbladła z przestrachu.

Po chwili powrócił pan Ignacy ze swego gabinetu.

— Wyobraź sobie, Zosiu, że owe siedmdziesiąt pięć tysięcy marek, wbrew wszelkim oczekiwaniom, nie zostały wypłacone przez żaden bank hamburski, jesteśmy więc bogatsi o taką sumę.

Pani Zofia szalała niemal z radości. Wyściskała dzieci, męża, pannę Auban, usługę całą obdarzyła natychmiast datkami pieniężnemi i chciałaby była, żeby świat cały z nią się cieszył.

O dziesiątej godzinie, już w balowym stroju, pan Ignacy zapukał do drzwi buduaru żony.

— Kto tam?

— To ja.

— Nie można!

— Nie chcę wejść, przychodzę ci tylko powiedzieć, że otrzymałem przed chwilą wiadomość, że suma, którą jakoby miał pożyczyć Godębski w okolicy, okazała się znacznie przesadzoną, w rzeczy samej zaledwie czwartą część...

Pani Zofia upuściła trzymany w ręku flakonik.

— Co mówisz? — krzyknęła.

— Najzupełniejszą prawdę. Nie przeszkadzam ci jednak ubierać się. Do widzenia!

W półgodziny potem państwo Worscy schodzili ze schodów swego domu. Pod ganek podjechała piękna kareta. Przy świetle latarni i księżyca łatwo było rozpoznać parę ślicznych, rasowych, ulubionej pani Zofii maści, to jest białych koni.

— Co to jest? — zapytała ona — co to za kareta? Wszak takiej i z takiemi końmi nie mogłeś wynająć! Czyjże to ten śliczny zaprzęg?

— Twój — odrzekł pan Ignacy, pomagając żonie wsiąść do karety i wsiadając sam.

— Jakto?

— Bo to widzisz—zaczął, jąkając się, pan Ignacy—okazało się, że żadne sprzeniewierzenie się nie miało miejsca, że... że jednem słowem...

Na tem jednem słowie zaciął się.

— A więc zapewne i pożaru żadnego nie było?— odezwała się z wielką goryczą po chwili milczenia pani Zofia — wszystko to był zatem żart tylko!

— Bo to widzisz... Jeden z przyjaciół... Jednem słowem... żeby wypróbować...

— Byłeś pewny, że będę gryzła ciebie i siebie, że będę rozpaczała i nie potrafię zastosować się do sytuacyi?

Mijając latarnię, dostrzegł pan Ignacy, że dwie duże łzy toczyły się po jej twarzy.

— Przebacz mi, jedyna! —zawołał, osuwając się jej do nóg, — sam nie wiem zkąd mi ten głupi pomysł przyszedł do głowy. Nie byłem bynajmniej pewny, inaczej pocóżbym miał męczyć ciebie, którą kocham, słabą czy silną, złą czy dobrą. Chciałem się tylko upewnić! Zresztą sam nie wiem zkąd... Przebacz mi, Zosieńko! Przebacz! przebacz i nie gniewaj się! Przebacz podwójnie bogatemu, gdyż takim się czuję, mając żonę, której żadna zmiana losu nie może złamać, bo kto w tak krótkim czasie tak umiał się przerobić jak ty, Zośko moja śliczna, może sobie powiedzieć: nie boję się życia! Przebacz mi, przebacz!...

— No siadaj już, siadaj! Nie gniewam się, nie! Tylko nie mnij mi sukni — dodała z przestrachem, widząc że pan Ignacy obejmuje jej nogi i chce stópki ucałować, co z trudnością chyba wielką można byłoby uczynić w ciasnej karecie.

— Nie gniewam się, bo nie mam nawet za co. Czy przypuszczasz, że sama byłam pewna, że we mnie tak wiele siły duchowej? Powinnam ci być wdzięczną, żeś mi dał poznać siebie samę.

— A więc kochajmy się i zgoda! — zawołał pan Ignacy, chcąc ją objąć i pocałować.

— Zgoda, zgoda, tylko nie mnij mi sukni!—krzyknęła.

— I kochamy się?

— Chybabyś ty mnie nie kochał, bo ja ciebie, mój psotniku, kocham i bardzo nawet.

— Dziękuję ci, kochanie moje jedyne, i życzę wesołej zabawy.

— Ten bal napewno będzie mi najprzyjemniejszy ze wszystkich w życiu.

Kareta zatrzymała się, szwajcar państwa Z. otworzył drzwiczki. Wraz z nim elegancki lokaj, którego nie zauważyła na wsiadaniu pani Zofia, pomógł jej wyjść.

— Podoba ci się jego zarost? — zapytał pan Ignacy. — To najzręczniejszy lokaj w całej Warszawie, nazywa się Jan. Jutro się namyślisz—dodał, prowadząc ją do drzwi, — jak umeblować dom nanowo. Mamy na to pieniądze, gdyż w tych dniach wygrałem włośnie proces o te dwadzieścia tysięcy rubli. .

KONIEC.

WYCHOWANIE.

III.

Na co dziś powinnibyśmy zwracać baczną uwagę w wychowaniu dziatwy swojej?



Wiadoma to rzecz, że tylko takie społeczeństwo może być zadowolnione z siebie, w którem każda jednostka znajduje sposób do zapracowania na swoje utrzymanie. Nie potrzebujemy więc dowodzić, że społeczeństwo, posiadające wiele jednostek, które dla jakichkolwiek powodów nie mogą odpowiednio sił swoich użyć i rozwinąć, a które z tego powodu mimowoli marnieć i wysychać muszą, społeczeństwo takie, powtarzamy, musi starać się czemprędzej o lekarstwo, gdyż jest w stanie chorobliwości, w stanie upadku materyalnego, a za nim i moralnego.

Dziś wielkie ościenne społeczeństwa przechodzą przesilenia ekonomiczne i starają się wszelkiemi sposobami zażegnać groźne chmury materyalnego upadku. I udawało im się to i udaje podziśdzień. Wartoby się nad tem zastanowić, dlaczego?

Zdaje się, że przyczyny są potemu bardzo liczne, a najgłówniejsze z nich tkwią w wychowaniu. Wychowanie u nas, zwłaszcza w sferach mało i średnio zamożnych, wielce się różni od wychowania tak blizkich nam Niemców lub Francuzów. Różnica bardzo znamienna leży w początkowem wychowaniu domowem i późniejszem szkolnem wykształceniu specyalnem.

U nas dziś jeszcze ktoś, mający sześcioro dzieci, w tej liczbie czterech synów i dwie córki, przy skromnem tysiącorublowem utrzymaniu rocznem, zapytuje gdzie oddać swego syna: do szkół klasycznych czy realnych? I pytający i zapytany długo radzą, namyślają się i jakoś do rezultatu dojść nie mogą. Ten tak poważne dowody składa, że klasyczne wykształcenie dobre dziś dla doktorów tylko, tamten twierdzi że realne tylko dla inżynierów. Nie mogą się jednak zgodzić ani na jedno, ani na drugie, gdyż utrzymują, że jak doktorów tak i inżynierów już dziś jest zawiele, że warunki się zmieniają i trzebaby coś innego dla syna obmyśleć. Ale cóż? Otóż w tem sęk!

Inaczejby zupełnie taką naradę odbyli Niemcy. Wiedząc, że dzieciom swoim majątku nie zostawią, że dzieci ich zapomocą wykształcenia zdobywać sobie kawałek chleba muszą, nie namyślaliby się długo, lecz umieściliby je w jednej ze szkół specyalnych. Po ukończeniu takiej szkoły dziecko ich będzie miało swoję specyalność, swój fach. Będzie więc czy to buchalterem, czy chemikiem, leśnikiem, rolnikiem, albo wykształconym rzemieślnikiem. Każda z tych specyalności zapewni mu znośny byt na przyszłość. Umysł tak wykształconej jednostki przeważnie skierowany bywa ku rzeczom konkretnym, zapewniającym materyalne korzyści, i tym sposobem łatwiej może wrazie potrzeby stanąć do walki z ciężką rzeczywistością i nie złamie się, lecz zwycięży ją.

Jednostka taka podnosi przemysł i handel swego narodu.

Tak, ale u nas szkół specyalnych prawie że niema, nawet, dziwna rzecz, mało zajmujemy się niemi, mało co, a nawet nic nie zrobiliśmy zbiorowemi siłami w tym kierunku; to zaś, co jest, powstało dzięki siłom kilku zacnych jednostek. I dlaczegóż to tak? Czyżbyśmy nie widzieli, nie odczuwali naszych klęsk i strat zpowodu tego? Czyżbyśmy spanoszonych u siebie cudzoziemców uważali za jednostki obdarzone jakiemiś szczególniejszemi przez naturę przymiotami i do robienia u nas fortun przeznaczonemi? Wcale nie. My dobrze wiemy, że oni to zawdzięczają przedewszystkiem odpowiedniemu domowemu i szkolnemu wychowaniu, a później wyższemu wykształceniu specyalnemu.

Dlatego też należałoby wcześnie złemu zaradzić, wcześniej obce nam do dziś dnia, a najgłówniejsze dźwignie dzisiejszych społeczeństw, przemysł i handel, na należnym im piedestale postawić. Nim to jednak nastąpi, długo jeszcze czekać będzie potrzeba.

Natura nasza, zbyt jest wobec tych potęg chwiejną i słabą — nie zapanuje nad niemi tak prędko, nie obróci ich na własną korzyść, nie oswoi się nawet z niemi. Tymczasem jednakże róbmy co można, a można bardzo wiele i to nawet przy małym wysiłku. Oto przyzwyczajajmy dziatwę od najmłodszych lat przy domowem ognisku, do oszczędności, zamiłowania i szanowania każdej godziwej pracy. Ostatni zwłaszcza punkt miejmy szczególniej na pamięci, gdyż o ile za granicą praca fizyczna przy odpowiedniem umysłowem wykształceniu bywa ogólnie szanowaną, o tyle u nas, biorąc na ogół, bywa źle widzianą i ten, kto jej się poświęca, za człowieka wykolejonego, praw towarzyskich pozbawionego jest miany. Znaną jest dykteryjka o pewnym krawcu, który, wygrawszy znaczną sumę na loteryi, w jednej chwili porzucił swój zawód i dostawszy się na jakieś urzędowanie, wyprawił żonę z dziećmi do spowiedzi.

— Nowe życie teraz zaczynamy, idźcie się więc wyspowiadać! — mówił, żegnając się z nimi.

— A czy i z tego mamy się spowiadać, tatusiu— zapytał go dziesięcioletni synek przyciszonym głosem, — że tatuś był krawcem?...

— Jak ci się podoba! — odrzekł eks-krawiec, — proszę was tylko, ażebyście mi już tego póki życia nie wspominali.

Otóż wobec takiej pogardy dla pracy fizycznej, dla pracy rękodzielniczej, wobec braku szkół fachowych i wyższych specyalnych, przemysł nasz i handel rozwinąć się nie mogą i nie rozwiną. Tymczasem potrzeba tego zachodzi już wielka.

Coraz to więcej przybywa społeczeństwu naszemu jednostek niezadowolonych, niebędących w możności znalezienia dla siebie odpowiedniego zajęcia, a wskutek braku zmysłu przedsiębiorczego, często samodzielności i chęci do handlu lub przemysłu, marnie wiodących żywot na jakiemś lichem urzędowaniu. Jakież to z tego otrzymujemy rezultaty? Bardzo dla każdego wymowne i bijące w oczy. Łódź, Pabianice, Zawiercie, Sosnowice i bardzo wiele, bardzo już dziś wiele podobnych do nich miast fabrycznych, gdzie cudzoziemcy w najlepsze sobie gospodarują i cały przemysł w swoje ręce garną, są dowodem bolesnym, że my, wskutek zaniedbania w wychowaniu i kształceniu dziatwy zamiłowania do przemysłu i handlu, straciliśmy bardzo ważny posterunek społeczny, który cudzoziemcy opanowali i zręcznie z niego korzyści ciągnąć potrafią.

W ostatnich czasach wiele u nas mówiono o zakładaniu szkół fachowych i wyższych specyalnych, nawet na prowincyi powstało kilka zakładów tego rodzaju; istnieje też projekt wprowadzenia przy szkołach ludowych nauki ogrodnictwa, pszczelarstwa, tkactwa i t. p.

Wszystko to dowodzi, że w społeczeństwie naszem ujawnia się coraz wyraźniej potrzeba rozwoju w tym kierunku. I słusznie. Pole to, przez nas dotychczas zaniedbane, należałoby powoli rodzimemi uprawiać siłami.

Baczną więc powinnibyśmy zwracać uwagę na wyrabianie w dziatwie swojej brakujących jej pierwiastków: szanowania każdej pożytecznej pracy, poznania olbrzymich potęg przemysłu i handlu, wyrabiania samodzielności i trzeźwego na stosunki, poglądu.

Stefan Gębarski.



Paryż, 15 Lutego 1891 r.

Skończył się karnawał. Ostatki, tak zwykle gwarliwe i wesołe, przeszły prawie niepostrzeżone w tym roku. Przyczyną tego poczęści gruba mgła, która, w ostatni wtorek zwłaszcza, tak się rozpostarła nad Paryżem, że wiele sklepów w samo południe oświetlono gazem lub elektrycznością. Inny był przecież główny powód złego humoru Paryżan. Od lat dwudziestu, to jest od klęsk Francyi, maskarada uliczna z tłustym wołem na czele nie ukazała się na bulwarach tutejszych. Napróżno lud dopominał się corok zapustnej uroczystości, magistrat stawiał opór. W tym roku jednak *vox populi* przemógł, jak się wszystkim zdawało. Magistrat pozwolił, minister spraw wewnętrznych podpisał upoważnienie. Już wspaniały wół-olbrzym, który właśnie otrzymał pierwszy medal na konkursie rolniczym, gotów do tryumfalnego pochodu przy poklasku tłumów, już mu złocono rogi, kiedy niepomyślny wiatr zawiał i odwróciła się chorągiewka. Minister wojny wzbronił wystąpienie wojsku, którego oddział maszerował zwykle przed orszakiem. Komitet rzeźników, dotknięty do żywego, wolał raczej zaniechać uroczystości, niż przystać na złamanie tradycyi miejscowej. Biedny wół, o kilka dni wcześniej niż to miało nastąpić, padł pod obuchem, bez oklasków i wieńców!

Maskarady zapustne w Paryżu i we wszystkich miastach Francyi niepamiętnych sięgały czasach, zwolna jednak traciły pierwotne znaczenie, aż wkońcu zamieniły się w istną parodyą. Niegdyś zabawy te miały przeważnie rycerski charakter, wół tłusty nie brał w nich udziału. Zapustna uroczystość łączyła wszystkie warstwy społeczne. Młodzi panicze z najpierwszych domów, równie jak bogaci mieszczanie, okuci w kolczugi i zbroje, przystrojeni w złotogłów i bławaty, przedstawiali sceny wzięte z dziejów lub z popularnych bajek; dowcipniejsi z nich improwizowali dorywczo wiersze, częstokroć satyryczną zaprawne werwą. Prosty lud nie był wyłączony od zabaw; rzemieślnicy, przebrani za żołnierzy, utrzymywali ład w pochodach.

W Dijon, stołecznem mieście Burgundyi, jak świadczą dokumenta, słynęło w XV wieku towarzystwo zwane „Companie de la mère folle," złożone z wielkich panów, z palestry sądowej i mieszczan, obdarzone przywilejem książąt burgundzkich. Towarzystwo to urządzało owe zapustne maskarady. Pozostały w archiwach okólnik Filipa Dobrego, napisany wierszem, świadczy, jak żywy udział brali panujący książęta w ulubionej zabawie ludu swego. Dajemy tu początek:

Książę Filip z Bożej łaski,
Dziedzic gór i ziemi płaskiej,
Pan Burgundyi, Luksemburga,
I Brabantu i Limburga,
Hrabia starej Flandrów ziemi,
Co grodami zjeżonemi
W ostre blanki, w groźne wieże
Od Holendrów granic strzeże,
Wojewoda z Namur, przytem
(A to wielkim mu zaszczytem,)
Graf cesarstwa, co jak słońce,
Blask na świata rzuca końce,
Pan Fryzonów ziemi mglistej,
Śle książęce swoje listy.
Wszem wiadomo niechaj będzie,
Kto żyw, konia niech dosiędzie,
Rzuca lenne zamki, grody,
Na dižońskie śpieszy gody.

Inne dokumenta dowodzą również wielkiej powagi kompanii „Mère folle." Na jednym podpisani Jan d'Amboize, biskup z Langres, i Jan Beaudricourt, wielkorządzca Burgundyi, pierwszy jako protonotaryusz, drugi jako prokurator Towarzystwa.

Pozostał także urzędowy akt, skreślony żartobliwym wierszem, dowodzący jako książę Kondeusz zapisał się do wesołej drużyny.

Rozpoczyna się od tych słów: „Oświadczamy wszem wobec: łotr wierutny kto temu nie uwierzy, jako Henryk z Burgonów, książę Kondeusz, pierwszy książę z krwi panującej, domu ukoronowanego we Francyi, zaszczycił obecnością swoją Towarzystwo i zapisał się pomiędzy jego członków."

W ciekawych pamiętnikach Tilliot'a z XVII wieku znajdujemy zajmujące szczegóły o tych obrzędach narodowych, których ostatnie echo odbrzmiewało dotąd w maskaradzie ulicznej z tłustym wołem.

* * *

Parę tygodni temu umarł w Paryżu jeden z najpierwszych malarzy francuzkich, Ernest Meissonnier. Słynny ten artysta, mimo lat ośmdziesięciu, tak dzielnie władał pędzlem, że mu długie wróżono jeszcze lata.

Syn kupca lugduńskiego, ciężkie przebywał on walki, nim złamał opór ojca, który w handlu korzennym pewniejszą przewidywał dla niego przyszłość, niźli na drodze artystycznej. Młodzian przebojem dostał się do Paryża, tu pracował o głodzie, zanim wypłynął na wierzch. Pozbawiony zasiłków ze strony surowego ojca, inne jeszcze napotkał on zapory przy pierwszem wystąpieniu.

Było to w czasach, kiedy wielkie obrazy z mytologii greckiej, lub z historyi starożytnego Rzymu, znajdowały tylko zwolenników. Na małe obrazki, odtwarzające sceny z powszedniego życia, poglądano z pogardą. Meissonier tymczasem upodobał sobie wyłącznie ten rodzaj, bez względu na panującą modę.

Nadeszła wreszcie chwila przełomu w sztuce, nagle zmieniły się pojęcia: „Kto nas oswobodzi od Greków i od Rzymian!" zawołał głos publiczny. Myśl wyrażona przez Mickiewicza: „miej serce i patrz w serce!" drgało niejako w powietrzu. Wówczas-to zwrócono uwagę na tryskające prawdą i życiem obrazki Meissonniera. Zrazu wzgardzone, rozchwytywano z zapałem.

Młodzi malarze, zachęceni powodzeniem towarzysza, rzucili się na drogę przez niego otworzoną. Tym sposobem powstała we Francyi szkoła rodzajowego malarstwa, która obecnie do takiego przyszła rozkwitu i rozwinęła się tak wszechstronnie.

Obrazki Meissoniera, pełne życia, mistrzowskim wykonane pędzlem, rozbiegały się w oka mgnieniu na wszystkie świata strony. Obsypywano je złotem, a ubogi zrazu artysta do ogromnych przyszedł dostatków.

Trzydzieści lat temu, oko mistrza szerszy ogarnęło widnokrąg. Wykarmiony tradycyą epopei napoleońskiej, postanowił uwiecznić pędzlem tryumfy Francyi z pierwszych lat bieżącego stulecia. W obrazkach historycznych, szczupłych rozmiarów, przedstawił olbrzymie zapasy Napoleona pod Friedlandem i Jeną. W jednym nakoniec, najpiękniejszym ze wszystkich pod tytułem „Rok 1814," pokazał ostateczne wysiłki bohatera przeciwko sprzymierzonej Europie. Pyszny ten obraz, wykonany przed laty kilku, zdumiewał znawców i pociągał tłumy na ostatniej wystawie międzynarodowej. To arcydzieło zdóbi dziś jednę z prywatnych galeryi w Paryżu; miłośnik sztuki Chanchard nabył obraz za 850,000 franków.

Syn zmarłego, Karol Meissonnier, pochwycił też za pędzel. Wykształcony w szkole ojca, doszedł nawet do niepospolitej biegłości i gdyby nie zwał się Meissonnierem, mógłby zająć zaszczytne miejsce wśród utalentowanych malarzy. Ale skromny artysta obliczył własne siły, spadkobierca wielkiego imienia czuł, że mu odpowiedzieć nie zdoła, nie chcąc też narażać się na upokarzające porównania, nie wystawia nigdy publicznie obrazów swoich, maluje tylko dla siebie i przyjaciół.

Kilka lat temu, na prośbę osób urządzających loteryą na cel dobroczynny, Karol Meissonnier ofiarował rodzajowy obrazek. Wygrał go ubogi węglarz Owerniak. Obecny przy ciągnieniu, zabrał wygrany fant i powrócił z nim do sklepiku swego. Idąc przez pola Elizejskie, spostrzegł, że tuż za nim postępują dwaj cudzoziemcy, że szepcą coś niezrozumiałą mową.

Ledwie że stanął w domu, wchodzą za nim dwaj nieznajomi. Byli to Amerykanie. Spostrzegli oni wśród fantów obraz z podpisem Meissonniera, a widząc że go wygrał ubogi Owerniak, pewni byli, że tanim kosztem zdobędą utwór słynnego mistrza. Od pierwszego słowa ofiarują tysiąc pięćset franków za obraz.

Przebiegły góral zmiarkował, że ma w ręku jakiś skarb niezwyczajny. Przywołuje żonę i po krótkiej naradzie odmawia wręcz sprzedaży.

Odeszli Amerykanie, ale w parę godzin powracają znów do sklepiku. Zastali samę żonę, dają za obraz dziesięć tysięcy franków. Po chwili wraca Owerniak.

Daremne zabiegi, węglarz odmawia uporczywie. Przypomniał on sobie, że czytał niedawno w dzienniku, iż za obraz Milleta zapłacono siedmkroćsto-tysięcy!

Wieczorem Amerykanie pojawiają się znowu, pokazują węglarzowi weksel na dwadzieścia pięć tysięcy franków. Owerniak czeka jeszcze, ale żona nalega. Co tu czynić? Namyśla się nakoniec.

— Dajcie panowie — rzecze — trzydzieści tysięcy i zabierzcie sobie mój obraz.

Amerykanin dopisuje pięć tysięcy na wekslu i wręcza go węglarzowi.

— Ja się na tem nie znam — rzecze góral,—nie przyjmuję żadnych papierów, proszę o trzydzieści tysięcy brzęczącem złotem.

— Nie mamy ich przy sobie — odrzecze Amerykanin, — ale przyniesiemy je jutro zrana.

Biedni Owerniacy przebyli noc bezsennie. Trzydzieści tysięcy franków! toż to dla nich wielki majątek. Porzucą wnet sklepik, powrócą do gór swoich, kupią kęs ziemi, zbudują sobie chatę, będą mieli osiołka i trzodę gęsi! Na tych projektach zbiegła im noc do rana.

Nie dowierzają przecież własnemu szczęściu.

— Trzeba było kuć żelazo póki gorące — rzecze z westchnieniem żona, — gotowi się namyśleć, może już nie powrócą!

Powrócili jednakże, wysypali na stół trzydzieści tysięcy franków. Uszczęśliwieni zabrali do powozu obraz Meissoniera. Niemniej uszczęśliwieni Owerniacy liczyli złoto swoje.

Dowiaduje się o tem Karol Meissonnier. Pośpiesza do Owerniaków, tłómaczy im pomyłkę, ale Yankesy mało zważają na to. Dość im, że mają obraz ze słynnym podpisem, ani wątpią, że na wagę złota odprzedadzą go w Nowym Yorku, gdzie więcej znano monogram, niżeli dzieła sztuki.

Ale Karol Meissonnier nie chce przyłożyć ręki do matactwa spekulantów amerykańskich. Zmusza ich do oddania obrazu, za zwrotem wypłaconej przez nich sumy. Cała ta sprawa pozostała dla ojca tajemnicą.

Seweryna Duchińska.

W ZŁĄ GODZINĘ.

PRZEZ AUTORKĘ „MOLLY BAWN."

Przekład z angielskiego

M. G.



Wszyscy znajomi zadziwili się wielce na wieść, że stary Grautham wydaje swoję ładną córkę za Geoffreya Cardena, człowieka tak poważnego, że ta powaga mogła być uważaną nawet za wadę, a młodszego zaledwie o parę lat od ojca narzeczonej. Był on wdowcem, miał lat czterdzieści, conajmniej trzydzieści ośm, z natury tak poważny, tak w sobie zamknięty, że zdawałoby się, ostatnim byłby chyba z ludzi gotowych powierzyć swoje losy rękom takiego dziecka, jak Zunia Grautham, ślicznego stworzenia, które choć sobie liczyło rzeczywiście lat dziewiętnaście, wyglądało na sześnaście conajwyżej, a lekkomyślne było jak młode kociątko. Wyglądała ona śmiesznie młodo, jak na swoje lata.

— Olbrzymie oszukaństwo — zwykła była mawiać o sobie, co zawsze pobudzało do śmiechu jej ojca.

Wielka powaga Cardena zapewne ztąd pochodziła, że przeszłość jego była osobliwie nieszczęśliwą. Ożenił się bardzo młodo z kobietą najgorszego charakteru, chociaż świetnego urodzenia, żona jego upadała coraz niżej, aż wreszcie zaczęła pić, wkońcu po długich latach, umarła w jakiemś małem miasteczku. Tragiczna ta historya powlekła jego twarz odcieniem smutku, graniczącego niemal z posępnością, lecz nie uchroniła go od zakochania się nazabój, po młodzieńczemu, w Zuni Grautham.

Był on bardzo bogaty i Grautham, który go znał od lat wielu i miał wiele danych do szacunku dla niego, rad był, gdy się dowiedział o jego uczuciach dla córki jedynaczki; nic lepszego nie mógłby pragnąć. Zunia sama przyjęła propozycyą małżeństwa z zachwycającą obojętnością, nie frasując się bynajmniej z tego powodu.

Tak się przyzwyczaiła do codziennych odwiedzin pana Cardena i tak lubiła cukierki, klejnociki i piękne drobiazgi, któremi ją obsypywał, szczególniej cukierki, że polubiła go bardzo, zanim jeszcze się oświadczył, a oświadczyny przyjęła bez żadnej obawy. Męża uważała jako niezbędny dodatek, niemniej niezbędny od pieska jamnika, który jej wszędzie towarzyszył, choć trzeba przyznać, że więcej czasu poświęciła wyborowi pieska.

Wszystkie podstarzałe kuzynki obu stron bardzo były zaciekawione, jak się urządzi to małżeństwo? Przez pierwsze trzy miesiące wszystko szło nadspodziewanie dobrze. Czoło Cardena rozjaśniło się, ubyło mu powagi, a Zunia, zamiast spoważnieć, zrobiła się jeszcze młodszą.

— Śmieszna jest! — zawołał cały chór podstarzałych pań i panien, a jedna z nich, śmielszego niż reszta umysłu, zaczęła nalegać na panią Carden, ażeby kupiła sobie aksamitną suknię ciemnego koloru i kapelusz właściwy dla matrony.

Wiele się spodziewano po tym środku, lecz niestety, gdy Zunia ubrała się w ten strój, nadzieje okazały się płonnemi. Była śliczna, to prawda, lecz śmieszna! Wyglądała jak mała dzieweczka, która, znalazłszy stare szaty babci, ubrała się w nie, ażeby udawać dorosłą. Ładnie jej z tem było, lecz wyglądała jeszcze bardziej na dziecko.

Ojciec parsknął śmiechem, ujrzawszy ją w tym kapeluszu, a mąż zażądał, ażeby go zdjęła natychmiast. Wyglądała w nim na lat dziesięć, a on przy niej na sto. Zunia, mająca pewną słabość do tego stroju, pod naciskiem mężowskiego życzenia zmuszona była rozstać się z nim nazawsze. Odjęła powiewające pióra, obniżyła dawne kokardy, wywróciła rondko i obszyła brzegi włóczką, związała szarfy w piękny węzeł i zawiesiwszy kapelusz jak koszyczek na ręku, włożyła do niego dwie białe myszy i nazwała go kołyską.

Szczególne upodobanie miała Zunia do przejażdżek po Hyde-Parku i każdego wieczora w Maju i w Czerwcu można ją tam było widzieć jeżdżącą z jamnikiem Chin-chin, siedzącym obok niej.

W owych chwilach Chin-chin był uosobieniem uroczystej powagi, siedząc na poduszkach po lewej stronie swej pani, wyprostowany, z podniesionemi dogóry uszami i błyszczącemi oczami, któremi toczył naokoło, szukając nieprzyjaciela; wyglądał on, jak prawdziwy smok na straży. Pani Carden nie była rozmiłowana w towarzyszkach panieńskiego rodzaju, bo wychowała się bez nich, a że stare kwoki, o których była powyżej wzmianka, były conajmniej uciążliwe, wolała jeździć na spacer sama.

Pewnego cudownego wieczora, pod koniec Maja, jeździła Zunia z Chin-chinem powoli pomiędzy tłumem powozów. Rododendrony były w pełnym kwiecie i mnóstwo innych kwiatów rozweselało klomby. Taka słodka była istotnie woń powietrzu, że można było zapomnieć o dymie i gwarze miasta, leżącego tak blizko, i uwierzyć, że się jest wśród prawdziwych, rozległych łąk i gajów.

Nagle zaczęły się obracać wszystkie głowy w jednę stronę i szmer poszedł po tłumie, że księżna Walii jedzie, potem nastąpiło zatłoczenie powozów. Zunia, której powóz szedł w pierwszym rzędzie od chodnika dla pieszych, gdy się zatrzymał, podniosła oczy i zaczęła obojętnie rozglądać się po tłumie stojącym na chodniku. Po chwili dziwne jakieś uczucie niepokoju przejęło ją całą i nagle, jakby pociągnięta niewidzialną siłą, spojrzała ku prawej stronie. Spotkała tam spojrzenie pięknych niebieskich oczu, wpatrzonych w nią z zachwytem.

Zarumieniła się gorąco pomimowoli i, zapóźno ażeby ukryć rumieńce, odwróciła się w drugą stro-

nę. Nie była już dłużej niepokojoną tem spojrzeniem, lecz na nieszczęście nie mogła zapomnieć, że je widziała. Ogarnęło ją niemiłe uczucie, że te niebieskie oczy są wciąż na nią skierowane, choć nic więcej nie mogą widzieć, oprócz bujnych włosów podniesionych dogóry. A chociaż powtarzała sobie, że właściciel tych oczu niegodzien był przebaczenia, nie mogła jednak wygnać go ze swych myśli. Do tej całej nieprzyjemności przyłączyła się i nerwowa jeszcze, niepowstrzymana chętka do śmiechu, którą zażegnała, pochylając się ku pełnemu powagi Chin-chinowi. Była naprawdę zadowolona, gdy powozy mogły nareszcie ruszyć, i rozkazała stangretowi jechać do domu.

Młody człowiek ów, niegodzien przebaczenia, resztę dnia przepędził na dowiadywaniu się, kto jest ona. Nie było to trudno, bo trzeci człowiek, którego o to zapytał, powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć.

„Córka Grauthama. Czy znał Grauthama? Żona Cardena, tego księcia przemysłowców. Jedna z najbogatszych kobiet w Londynie, a mąż stara mumia. Czy dobrze są ze sobą? Czy on zazdrosny? co? O! zapewne, zapewne. Ten rodzaj małżeństw rzadko się udaje. Może było coś więcej do powiedzenia o niej? co?"

Dotąd wszystko było dobrze. Sam Grautham był dawnym znajomym ojca młodego człowieka, który się nazywał Disney; zrobienie znajomości bardzo łatwe. Trzeba będzie przedstawić się „starej mumii," potem żonie, a może ją spotka u pana Grautham, niezawodnie bywa ona często w domu ojca, ażeby się wyrwać zpod jarzma mężowskiego. Młodzieniec doszedł już do wniosku, że mąż i pan tej ślicznej dzieweczki musi być nietylko zgrzybiałym starcem, ale i niegodziwym tyranem.

W tydzień później spełniły się jego życzenia. Zjawiwszy się w domu pana Grauthama, z biletem w ręku, został bardzo uprzejmie przyjętym, lecz w sposób zdradzający pośpiech i zakłopotanie.

Będąc dobrze wychowanym, zauważył to odrazu. Tak, istotnie, pan Grautham wyznał, że bardzo mu się śpieszy i że musi jechać natychmiast do City; czy pan Disney zechce to uwzględnić? Prosił go, ażeby nie opuszczał jego domu, tylko pozwolił córce, pani Carden (bawiącej u niego od kilku dni zpowodu nieobecności męża w Londynie), ażeby zastąpiła ojca. Jest ona właśnie w bawialnym pokoju, będzie bardzo rada gdy go zobaczy, słyszała nieraz od ojca o jego przyjacielu, pułkowniku Disney, i tam dalej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Wyszła zpod prasy nowa powieść Klemensa Junoszy (Szaniawskiego) z tytułem „**Syzyf**," w której autor daje wizerunek człowieka, co osiadłszy na roli, przez całe życie wytęża wszystkie siły, aby pchać ciężar, który mu wciąż opada na barki. I dlatego Syzyf... w trudzie bezowocnym, w walce o każde jutro, w zaparciu się siebie i ofierze bez skutków, dopóki sił mu nie zbraknie i serce nie pęknie.

Obrazek nad wyraz smutny i — zniechęcający do roli. Pan Jan, młodym będąc, zaślubił pannę Stefanią z miłości, z wiarą w siły własne i w bezwarunkowe zwycięztwo poczciwego trudu. Inaczej im jednak życie poszło: siły się wyczerpały, majątek zmalał do minimum, klęski waliły o ciche ściany ich skromnego dworku, w polach po gradach zostawała pustka, po spalonych budynkach garść popiołu, a po klęskach przyszło jeszcze najokrutniejsze widmo lichwy i wyzyskującego doreszty Żydowstwa. I na nic się nie zdała uczciwość, na nic praca, na nic zabiegłość i ciche, ubożuchne życie; wniwecz się obróciły nadzieje, pozostała tylko obojgu małżonkom wierna, trwała miłość, której ani grady nie zniszczyły, ani pożar nie spopielił, ani Żydzi zagrabić nie mogli.

Czyżby tak miało być zawsze z ową rolą, której święte przykazanie społeczne rękami i zębami trzymać się każe? Po przeczytaniu smutnego nad wyraz „Syzyfa" pytanie to nasuwa się umysłowi, w którym też rodzi się poważna wątpliwość, czy tak ujemne wpływem swoim powieści warto i godzi się pisywać?...

W obrazku tym, prócz dwóch postaci głównych, męża i żony, spotykamy doktora Ditto, który marzy o polepszeniu położenia przez skupienie sił rozstrzelonych, przez pomoc wzajemną, przez walkę rozumną z wadliwemi nawyknieniami i wyzyskiem. Obok doktora ukazuje się tam i stary Żyd, Maneles, postać nakreślona przez autora z ogromnem znawstwem i wielką powściągliwością, w której się również streszcza sens moralny bajki powieściowej. Ten osiwiały groszorób twierdzi, iż Opatrzność dała Żydom „kit" który to sprawia, że choć bez króla, książąt i ziemi ojczystej pod nogami narodem żydowskim są i być nie przestaną, chyba że się tego kitu pozbędą. A wedle niego pozbywać się zaczynają, w co jednak, mimo wielkiej znajomości tego plemienia ze strony autora, wierzyć się nie chce.

Obrazek ten Klemensa Junoszy, obok wielkiej prawdy życiowej, która jest cechą i fundamentem wszystkich prac jego, posiada też dużo ciepła i humoru. Czyta się gładko i nasuwa poważne refleksye.

Rz.

Z chwili bieżącej.

---

* **Spółka malarzy, rzeźbiarzy i architektów**, posiadająca swój „Salon" na Nowym-Świecie, wysłuchała w tych dniach sprawozdania swego zarządu z obrotu funduszów za rok ubiegły. Ze sprawozdania tego pokazuje się, że remanentu na rok bieżący pozostało zaledwie 364 rs. Coprawda, nie jest to wiele, ale nawet tak małej przewyżki dochodów nad rozchodami, po opłaceniu pensyi zarządzającego i służby, po uiszczeniu wysokiego komornego i pokryciu mniej rozlicznych kosztów, złym rezultatem nazwać nie można. Byle się wiązał koniec z końcem, można wytrwać i starać się, aby było coraz lepiej. W sprawozdaniu uderza jeszcze mała stosunkowo cyfra, przedstawiająca wartość prac artystycznych zamówionych i wykonanych za pośrednictwem Spółki. Wartość ta wynosi ogółem 16,171 rs. Wobec tylu dokonywających się u nas restauracyj domów Bożych i różnych budowli i zabytków artystycznej wartości, nadzwyczaj skromną wydaje się kwota, jaka na ten cel przeszła przez ręce Spółki, która i z natury swojej daje gwarancyę moralną, i w praktyce ciągle składa dowody kompetencyi i sumienności.

Być może, iż Spółka zamało się reklamuje i dlatego ludzie interesowani, a mianowicie przełożeni kościołów nieco dalej od Warszawy położonych, o działalności jego dotąd nie wiedzą. Niepodobna bowiem przypuścić, żeby po tem, co się już nadrukowało o zachowaniu zabytków sztuki i ich restauracyach, a mianowicie o restauracyach świątyń Pańskich, znalazł się jeszcze ktoś, coby, wiedząc o istnieniu Spółki, odnawianie przedmiotów sztuki wolał powierzać pojedynczemu, choćby nawet względnie wykształconemu człowiekowi, aniżeli Spółce, w której każde zamówienie przechodzi przez naradę tak zwanej „Delegacyi," złożonej z grona znanych artystów, ze wszystkich gałęzi sztuki plastycznej.

Dzienniki prowincyonalne oddałyby wielką usługę sprawie konwersacyi zabytków sztuki w kraju naszym, gdyby zawiadamiały, przypominały i pouczały swoję publiczność o istnieniu i działalności Spółki artystycznej, o której mowa.

* **Obiecanka cacanka.** Już nie wiem po który raz wyczytujemy w pismach naszych obietnicę reformy naszych dorożek; radzibyśmy byli z duszy serca, żeby się ta obietnica spełniła, ale po tylu zawodach lękamy się nowego rozczarowania. A te nasze dzisiejsze dorożki, Boże zmiłuj się! toć to istne narzędzia tortury i zniszczenia pasażerów, zmuszonych posługiwać się niemi.

W większej ich części, mianowicie w wybitych wewnątrz ceratą, siedzenia są tak zbudowane, że nieszczęśliwy pasażer zsuwa się z nich ciągle i co minutę zmuszony jest odpychać się opartemi o przód nogami, żeby nie zjechać zupełnie. Odzienie niszczy się w nich fatalnie, gdyż deszcz i błoto daleko lepszy mają do niego przystęp w dorożce, aniżeli gdy człowiek idzie piechotą. Co jednak najciekawsze, to to, iż niektóre z nich posiadają tak dowcipną konstrukcyą, że gdy jedziesz niemi z podniesioną budą, w czas względnie nawet dosyć spokojny, gwałtowny wiatr wieje ci — z tyłu!...

Rozwiązanie tej fizyczno-architektonicznej zagadki polecamy mężom fachowym, a tymczasem zaznaczamy, iż tym razem obiecują nam arcywygodne, czteroosobowe... Wstrzymujemy się z dalszem wyliczeniem zapowiadanych rozkoszy, bo poco to robić ludziom oskomę!...

* **Bal na szpital dla dzieci.** Warszawa jest nietylko dobroczynną, ale dobroczynną rozumnie, umie wybierać między celami filantropijnemi i chętniej popierać te, które najbardziej na poparcie zasługują. Dowodem tego są coroczne bale na Szpital dziecinny, które zwykle najświetniej ze wszystkich się udają. I tegoroczny wykazał ładny rezultat, gdyż przyniósł na czysto 5,577 rs. 50 kop. Wszyscy ci, co się na tę pokaźną sumę złożyli, mogą sobie z zadowoleniem powiedzieć, że dla dobrej sprawy ponieśli pieniężną ofiarę.

* **Szpital dla obłąkanych w Tworkach** ma być nareszcie w Kwietniu ostatecznie skończony, a w Czerwcu otwarty. Znajdą więc wkrótce przytułek te liczne ofiary obłędu, które w braku pomieszczenia w szpitalu, pozostając przy rodzicach, niemogących częstokroć należytego nad niemi rozciągnąć dozoru, stają się dla nich nieraz ciężarem nad siły. Ztąd to tylu biedaków obłąkanych, wałęsających się samopas po ulicach. Widok to bolesny i demoralizujący. Demoralizujący mianowicie dzieci klas uboższych, które, znęcając się nad tymi biedami, zatracają w sobie cnotę współczucia i poszanowania cudzego nieszczęścia. Dlatego z zadowoleniem witamy zbliżającą się erę otwarcia tego przybytku, lubo wchodzący do niego, po większej części na podobieństwo wchodzących do piekła Dantejskiego, wszelką za sobą zostawiają nadzieję.

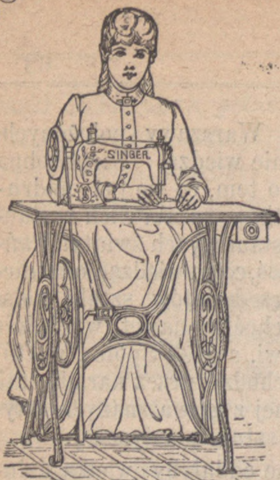
* **Pomnik dla Korotyńskiego.** Przyjaciele zmarłego świeżo ś. p. Wincentego Korotyńskiego krzątają się około zebrania funduszu na uczczenie skromnym pomnikiem pamięci nieboszczyka. Przy ofiarności tych, którzy się mają zająć artystycznem i technicznem wykonaniem zamierzonego nagrobka, 300 rs. wystarczy na jego wzniesienie. Niestrudzony pracownik pióra zasłużył sobie na to uczczenie od rodaków, to też spodziewać się należy, że niebawem zbierze się ten mały fundusz, którego gromadzeniem zajmują się panowie Andriolli i Gawalewicz.

G. Cz.

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

18—2—6

ORYGINALNE SINGERA MASZYNY DO SZYCIA



uznane zostały za najlepsze do użytku domowego i wszelkich celów rzemieślniczych. Władanie oryginalną maszyną Singera jest nadzwyczaj łatwe, oprócz tego posiadają te maszyny najdokładniejsze aparaty pomocnicze, szyją szybko i równo tak najcieńsze jak i najgrubsze materyały.

Rozwijające się ciągle ulepszenia i nowe wynalazki, jakie bywają przy oryginalnych maszynach Singera zastosowywane, czynią takowe najdokładniejszemi maszynami do szycia wświecie. Wysokoramienna Improved maszyna do szycia prześcignęła wszystkie dotychczasowe systemy.

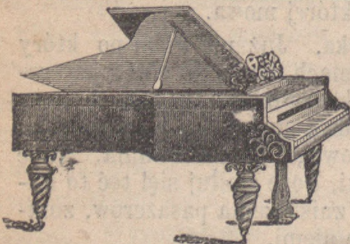
Przeszło 8 miljonów oryginalnych Singera maszyn do szycia w użyciu! Przeszło 300 pierwszych nagród!

☞ **Zadatek mały. Spłata tygodniowa po rs. 1. Nauka bezpłatna. Gwarancya dwuletnia.**

G. NEIDLINGER, Warszawa, Wierzbowa 6,

własne filje w Królestwie Polskiem:

Łódź, ul. Piotrkowska. ***Kalisz,*** ul. Warszawska 11. ***Kielce,*** Rynek. ***Radom,*** ul. Lubelska 19. ***Lublin,*** Krak.-Przed. 177. ***Łomża,*** Rynek 216. ***Płock,*** ul. Tumska 57. ***Siedlce,*** ul. Warszawska 143.



Sprzedaż na RATY.

3—1—3

Największe Składy Instr. w Cesarstwie i Królestwie,

HERMAN i GROSSMAN,

Warszawa, Mazowiecka 16, St.-Petersburg, 33 W.-Morska.

WYNAJEM.

KRZYSZTOF BRUN I SYN

W WARSZAWIE,

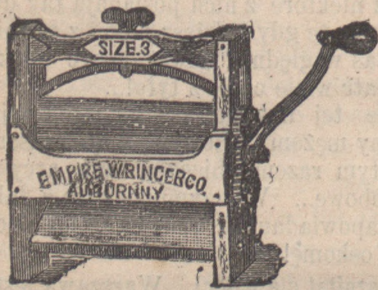
Plac Teatralny Nr 2 (466),

wyłączni ajenci na Królestwo Polskie

polecają po

znacznie zniżonych cenach

oryginalne amerykańskie



WYŻYMACZKI

Empire Wringer C°

Auburn New-York

15—2—3

Nr 3 długość walcy 10 cali, Rs. 9.

Nr 5 długość walcy 12 cali, Rs. 12.

Pierwszorzędne Kancyonowane Biuro

NAUCZYCIELSKIE

F. Sikorskiej,

w Warszawie, Niecała Nr 12.

Uppważnione przez Władzę na Cesarstwo i Królestwo, pośredniczy w umieszczeniu nauczyciel, nauczycielek i bon. 85—1—

GORSETY FRANCUZKIE

Hafty Szwajcarskie

POLECA SKŁAD NICI 19—1—

H. Boniczkowskiej,

Krakowskie-Przedmieście Nr 41.

Specyalna Fabryka Gorsetów Hygienicznych

104 Józefiny Knoff.

Wybór gorsetów najświeższych fasonów paryzkich i we wszelkich gatunkach materyałów. Obstalunki wykonywa w przeciągu 24 godz. po cenach przystępnych.

Marszałkowska 141 (wprost Rysiej).

Zakład Galwaniczny

PIOTRA FILIPSKIEGO

w Warzzawie,

róg Piekarskiej i Placyku № 14 wprost Kapitulnej.

Przyjmuje wszelkie przedmioty do złocenia na różne kolory, srebrzenia, oksydowania i niklowania.

Ceny bardzo umiarkowane. 68—3—

7—2—6

Pracownia

Waleryi Wesołowskiej,

ulica Trębacka Nr 3 (1 piętro).

Wykończa na sezon bieżący suknie damskie i ubranka dziecinne podług najświeższych żurnali, po **cenach bardzo umiarkowanych**, w możliwie krótkim czasie.

W pracowni Niżyckiej Marszałkowska 129. Suknie na bale i wieczory kostiumowe, również i wszelkie inne suknie, okrycia i kapelusze wykonywają się szybko i dokładnie według świeżych żurnali, po cenach przystępnych. Nauka kroju i szycia.

14—2—5

!!Przemysł krajowy!!

Rzeźbię na skórze: Herby, Monogramy i różną Ornamentacyę, używaną do pokrycia mebli, jako też przyjmuje zniszczone Aksamity, Plusze i Utrechty do odświeżania i wytłaczania pięknych deseni, na Żakietach i Paltach bez prucia.

Z uszanowaniem **Jan Kwiatkowski,**

9—2—6 Chmielna 28, mieszk. 14.

MAGAZYN MÓD

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 20,

1-sze piętro, wprost kościoła św Krzyża.

71—4—4 pod firmą

ELŻBIETY BANACHOWSKIEJ.

Polecając się łaskawym względom Szanownych Pań, nadmieniam, iż zarządzałam dotąd pierwszorzędnemi zakładami.

SKŁAD OBRAZÓW

Franciszka Reinsztejna

ul. Miodowa Nr 6 (z bramy na lewo).

Obrazy olejne, szkice, akwarele, pastele.

68—3—3 **Ceny od najniższych.**

SKŁAD POŚCIELI

BIELIZNY POŚCIELOWEJ

I ZAKŁAD MEBLOWY

TAPICERSKO-DEKORACYJNY

J. Chełstowskiej,

obecnie ***ulica Czysta Nr 4,***

dawniej Hotel Europejski, w Warszawie.

43—5—6

Nowość ciepłe koszule **„Edison"**, które usuwają wszelką potrzebę używania trykotów, w zupełności zastępują elegancką i wygodną dziecinną bieliznę. Filja ***Nowy-Świat Nr 67.***



Magazyn Strojów,

sukien, okryć i ubranek dziecinnych. Przyjmuje wszelkie roboty w zakres toalety damskiej wchodzące, z własnych lub powierzonych materyałów, po cenach przystępnych. 167—6—

Z Łazarewiczów Marya

Bernatowicz

Szpitalna Nr 5, w Warszawie.

PIERWSZA W KRAJU FABRYKA

Materace z wełny drzewnej

Kaszyński i Gadomski

Królewska 17,

poleca materace płócienne od rs. 3 drelichowe od rs. 4 kop. 50. 101—2—1

Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Февраля 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna №. 26.

Dodatek.

Opis do N-ru 8.

N. 1. Suknia prinçesse z bluzką.

Uszyta z materyi lub wełny, przykrajana formą prinçesse z głębokim wykrojem podłużnym z przodu i z tyłu, dopełniona jest bluzką z gładkiego lub deseniowego fularu, płótna bośniackiego, crêpe de chine, haftowanej materyi, gazy lub t. p. Szerokie rękawy przemarszczone u ręki w falbanę. Brzegiem wykroju i wzdłuż przodu dane oszycie z piór.

N. 2 i 13. Ubranie wieczorowe.

Lekka materya jedwabna w pasy białe i jasno-zielone wzięta jest skośnie; spódnica kraje się do ziemi, lub z krótkim trenem, górny brzeg z przodu lekko naddany, z tyłu zebrany w ścisłe fałdy zwrócone do środka, zachodzi na stanik; spódnica podszewkowa wszyta w pasek zapięty pod stanikiem. Szeroka kokarda przypięta na fałdach z tyłu. Podszewka stanika zapięta środkiem na haftki, pokryta materyą na prawej połowie przodu, ułożoną w głębokie poprzeczne fałdy, na lewej w skośne podłużne. Plecy stanika z prawego boku ułożone w kontrafałdę, z lewego mają bretelkę zfałdowaną z białej, 16 c. szerokiej koronki chantilly, suto namarszczonej na ramieniu i przechodzącej skośnie wzdłuż przodu. Na drugiem ramieniu powtarza się takie same przybranie, dochodzące tylko do wykroju stanika; 6 c. szeroka, ciemno - zielona aksamitka zakończa bretelki.



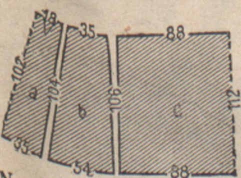
N. 1. Suknia prinçesse z bluzką. N. 2. Ubranie wieczorowe. Patrz ryc. 13.



N. 3. Ubranie wieczorowe z szerokim paskiem. Patrz ryc. 4 i 20.

N. 3—4 i 20. Ubranie wieczorowe z szerokim paskiem.

Lekka gaza jedwabna wymaga podszewki jedwabnej tego samego koloru, do przybrania służy pletnia złota dwojakiej szerokości, którą zastąpić można szlakiem haftowanym lub wyszytym perełkami. Suknię przykrojoną podług r. 4 zdobią u dołu dwie falbany, dziergane jedwabiem, z których górna, na brycie przednim i na bocznych, podpinana w górę, zachodzi na szlak i festonuje się w zęby. Stanik z tyłu zapinany na kryte haftki, ma plecy zaszyte wzdłuż w zakładeczki, przody przybrane pletnią (patrz r. 20); wykrój okrągły zakończa falbana marszczona odwinięta do dołu. Krótkie rękawki przybrane pletnią i czterema bufkami na ramionach. Pasek z przodu szeroki bawetowy, z tyłu prosty i wązki, zaplisowany w fałdki i zdobny pletnią, wymaga sztywnej podszewki.



N. 4. Wymiar brytów do ryc. 3.



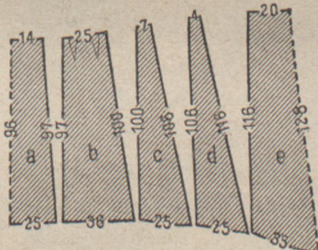
N. 10. Spódnica krajana w kliny, do ryc. 14.

N. 5—8. Suknia balowa przybrana piórami.

Całość w kolorze białym odrobiona z materyi w drobny rzucik i gazy jedwabnej gładkiej. Bryty sukni krajać podług wymiaru na r. 6; przód w górze ma dwie zaszewki, zastosowane do figury, dalej brzeg zostawiony gładko a wszystkie fałdy zebrane ściśle z tyłu na środku. Podszewka stanika dopasowana jak zwykle, zaś materyał zwierzchni, wcale nie przecięty, pokrywa gładko przody i zapina się z prawego boku. Zapięcie przykryte fałdowaniem z gazy, spuszczonej w dalszym ciągu od przybrania wykroju. Przez gładkie plecy przechodzi plisowanie z materyi, zwrócone do przodu i stanowiące pasek, kończący się przy zapięciu. Przód i boki sukni zakończone przybraniem z gazy podpinanem piórami; rękawki przybrane tak samo.



N. 5. Suknia balowa przybrana piórami. Patrz ryc. 6—8.



N. 7—8. Stanik i przybranie spódnicy do ryc. 5.

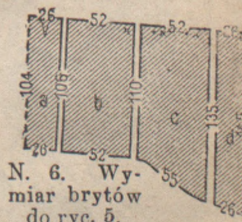
N. 9—11 i 14. Ubranie strojne wizytowe.

Moda wprowadza w użycie znowu suknie kliniaste, a przy takim kroju ciężkie, grubsze materyały będą mieć otwarty wstęp do sali balowej. Ryc. 11 przedstawia pojedynczo wymierzone kliniaste bryty sukni z małym trenem, a ryc. 10 daje suknię płasko rozłożoną; 16 c. szeroka skośna plisa, otaczająca w około dół sukni nie jest włączona w długość podaną na ryc. 11. Suknia nie potrzebuje spódnicy podszewkowej, lecz tylko bryty podkłada się sztywnym muślinem. Model do ryc. 14 był z aksamitu poziomkowego koloru; na wszystkich szwach i środkiem tylnego bryta dana torsadka z czarnych perełek 2 c. szeroka; górny brzeg sukni z przodu i z boków zupełnie gładko leżący, z tyłu zebrany w ścisłe fałdy, zwrócone do środka, podszywa się wypustką ze sznureczkiem i zakończa torsadką. Stanik krótki sznurowany z tyłu, zachodzący pod spódnicę, wycięty w głęboki ząb, jest także naszyty torsadką. Z przodu wykrój przybrany skosem 15 c. szerokim, przypiętym na ramionach strusiemi czarnemi piórami. Nowy wybryk mody stanowią zupełnie długie rękawy przy dekoltowanych stanikach. Przód sukni zdobią pióra, przypięte podług r. 14.

N. 11. Wymiar brytów ścinanych kliniasto do ryc. 10.

N. 12 i 18. Ubranie wieczorowe z trenem. Patrz ryc. 18 w N. 7.

Ładne przybranie sukni z jasno-różowej materyi faille stanowi riusza, naśladująca pióra, układana z prostego kawałka wysiepanego z brzegów po 2 c. szeroko; przód sukni zdobią trzy rzędy riuszy także wysiepanej z brzegów i układanej w kontrafałdy. Suknię bez podszewkowej spódnicy można przykrajać podług r. 4, podkładając materyą sztywnym muślinem. Brzeg przedni i boki są trochę zmarszczone, tylne bryty ściśle zsunięte; r. 18 w N. 7 wskazuje krój stanika, którego plecy krają się w jednym ciągu z trenem, przody naddane w górze zbierają się w fałdy, podług znaczków. Tren podkłada się flanelką, podszywa materyą i zbiera w fałdy zwrócone do tyłu; z boków trzeba dać kryte haftki do przypinania do sukni. Przy staniku sute kokardy.



N. 6. Wymiar brytów do ryc. 5.

N. 15 i 28. Suknia z kaftanikowym stanikiem.

Uszyta z kolorowej materyi faille, z długim lekko podpiętym trenem, otwarta z przodu na brycie z crêpe de Chine lekko udrapowanym i zakończonym frendzlą spadającą na plisowanie z materyi. Przednie brzegi materyi naszyte poza obrębem 5 c. szerokim, ażurową torsadą złotą 8 c. szeroką, spadającą z tyłu. Stanik długi kaftanikowy odrobiony z deseniowego aksamitu, tego co faille koloru, ma przody szeroko otwarte na kamizelce z atłasu jasnego koloru, zapiętą na ozdobne guziki i ogarnirowaną szeroką koronką, daną także przy rękawach krepowych.

N. 16. Ubranie wieczorowe z wyszywanym szlakiem.

W N. 7 na r. 19 daliśmy wzór szlaku wy-



N. 9. Plecy do ryc. 14. Patrz ryc. 10—11.

N. 12. Ubranie wieczorowe z trenem. Patrz ryc. 18.

N. 13 Ubranie wieczorowe. Patrz ryc. 2.

N. 14. Ubranie strojne wizytowe, ze spódnicą krajaną kliniasto. Patrz ryc. 9—11.

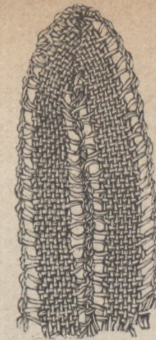
N. 15. Suknia wizytowa z kaftanikowym stanikiem. Patrz ryc. 28.

N. 16. Ubranie wieczorowe z wyszywanym szlakiem.

N. 17. Suknia z trenem dworskim. Patrz rycinę 14 w N. 7.

N. 18. Ubranie wieczorowe z trenem. Patrz rycinę 12.

N. 19. Ubranie wieczorowe z upięciem fartuszkowem. Patrz ryc. 25.



N. 22. Listek zaokrąglony do ryc. 32.



N. 23. Listek szpiczasty do ryc. 32.

N. 24. Próbka tasiemeczki z ażurowym brzeżkiem.



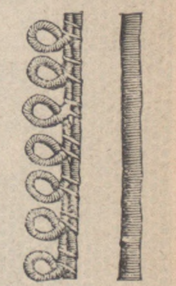
N. 26. Gładka tasiemeczka.

N. 25. Listek trójkątny do ryc. 32.

N. 27. Szeroka tasiemeczka do r. 32.

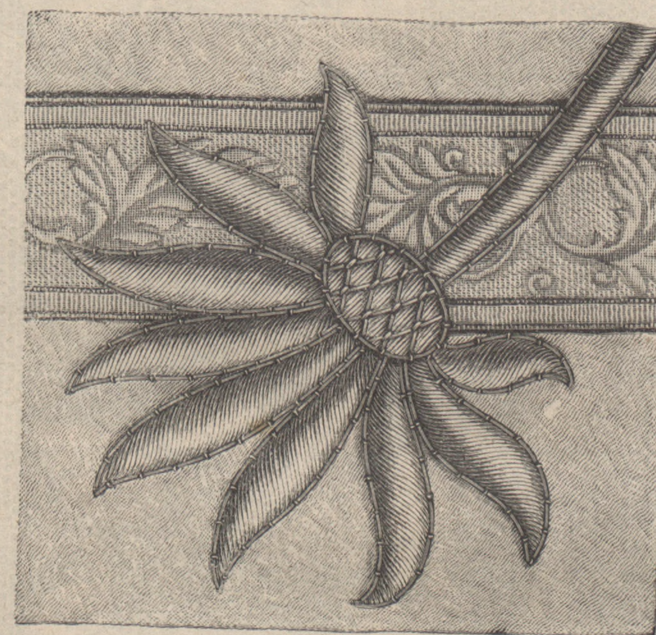


N. 30. Kółeczko dziergane do r. 32.

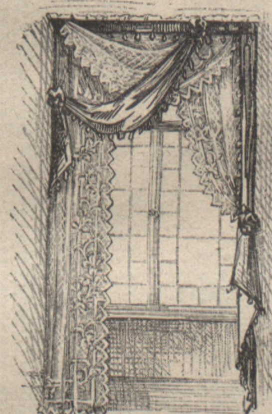


N. 28. Sznureczek z pikotami.

N. 29 Sznureczek gładki.



Kwiat wielkość naturalna.



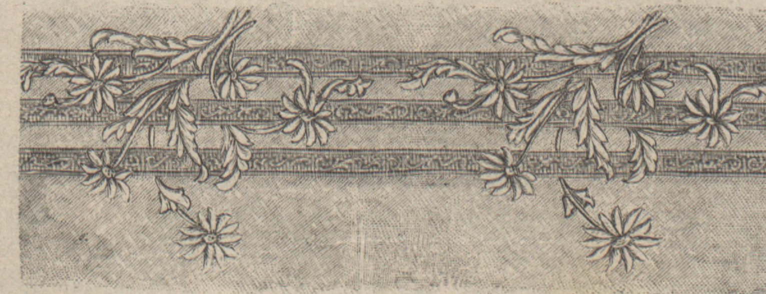
N. 31. Firanka tiulowa z aplikacyą z tasiemeczki. Patrz ryc. 23—32.



N. 20. Ubranie wieczorowe z szerokim paskiem. Patrz ryc. 3—4.



N. 21. Plecy do ryc. 15.



Szlak haftowany do sukien.

szywanego jedwabiem, naśladowaniem drogich kamieni i ozdobami z konchy perłowej, dziś przedstawiamy taki szlak, zastosowany do ozdoby białej wełnianej sukni. Spódnica 280 c. szeroka, zmarszczona w górze, zakończona szakliem wokoło; staniczek krótki sznurowany z tyłu, przemarszczony kilkakrotnie u dołu, ma wykrój kwadratowy i krótkie bufiaste rękawki. Pas szlaku przechodzi przez ramiona wokoło pachy.

N. 22—32. Firanka tiulowa z aplikacyą.

Bardzo efektowna a stosunkowo łatwa do wykonania z powodu dość grubego materyału jaki się na nią używa, jest to tiul grosbetowy i tasiemeczki koronkowe różnej szerokości. Podług wymagań obecnej mody aplikacya w guście rococo przedstawia gałązki wiązane kokardami, rzucone między dwoma pasami szerokiej tasiemki koronkowej. Deseń rysuje się na papierze i podkłada pod tiul; dla ułatwienia roboty trzeba oddzielnie przygotować kwiatki i liście składające deseń i następnie dopiero przytwierdzać czyli aplikować na tle. Na ryc. 22—30 dajemy próbki koronkowych tasiemeczek i sznureczków, zastosowanych do tej roboty. Rycina 17 z N. 7 wskazuje ząbki z tasiemeczki zakończające wokoło brzegi firanki. Niektóre części deseniu zajmuje lub zakończa sznureczek z pikotami. Rycina 32 przedstawia deseń o wiele zmniejszony, ale tak dokładnie wykonany, że objaśnia robotę; na próbkach daliśmy rozmiary naturalne.



N. 32. Część deseniu do ryc. 31. Aplikacye z tasiemeczki na tiulu.